



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Łucja Plucińska

Cztery lata na Rugii

Po kilku dniach niepewności ojciec wrócił do domu. Baliśmy się wychodzić na ulicę, bo znajomi Niemcy – niby przyjaciele, pokazywali teraz swoje prawdziwe oblicze. I tak minęło święto Bożego Narodzenia 1939 roku.

Rok 1940 rozpoczął się dla mojej rodziny tragicznie. Zostaliśmy, jak nam mówiono, politycznie internowani i wywiezieni do obozu w miejscowości Riesenburg (Prabuty). Pewnego styczniowego dnia 1940 roku o godzinie piątej rano mocne pukanie do drzwi poraziło wszystkich domowników. W drzwiach stali młodzi SS-mani z psami. Dali pół godziny na opuszczenie domu. Potem pędzili nas przez miasto na dworzec. Miałam wówczas 10 lat, a wspomnienia tamtych dni są w mojej pamięci niezatarte. Niemcy załadowali nas do pociągu i pojechaliśmy w nieznane. Dojechaliśmy do miejscowości Riesenburg. Tam w lesie rozdzielili nas. Dzieci pozostały z mamą, a ojciec dołączył do innych mężczyzn. Pożegnaliśmy się, bo wiedzieliśmy, że Niemcy zabijają. Pamiętam, że bardzo się bałam.

Dotarliśmy do pawilonów, gdzie wcześniej mieszkali psychicznie chorzy. Przedtem była upokarzająca kąpiel, potem niemieccy pielęgniarze ulokowali nas i nakarmili. Najstraszniejsze były noce. Pijani SS-mani rozbijali się po salach, śpiewali i krzyczeli. Budzili nas. Wyprowadzano nas również w grupach na spacer. Nie pamiętam czy to był las czy duży park. Widziałam jak z ukrycia obserwowali nas niemieccy żołnierze. W punktach z odzieżą dostaliśmy różne rzeczy do ubioru, ale tylko na pokaz, gdyż to zdarzenie fotografowano.

Po trzech tygodniach pobytu w obozie wyruszyliśmy ponownie pociągiem w nieznane. Byliśmy całą rodziną w komplecie. Po kilku godzinach wysiedliśmy z pociągu w miejscowości Stralsund. I tu zaczął się handel niewolnikami. Nie znajduję innego określenia. Na dużej sali dworcowej kilkanaście rodzin stanęło do przetargu. Wybierali gospodarze rolni. I tak opustoszała hala dworcowa. Moja rodzina została sama. Nikt nas nie chciał, bo byliśmy liczną rodziną z sześciorgiem dzieci. Gospodarze szukali ludzi starszych do pracy. W końcu wysłali nas na wyspę Rugię do miejscowości Lauchen-Sassnitz. Gospodarz czekał na nas na stacji. Był bardzo mroźny wieczór. Widząc nas gospodarz przeraził się. Oczekiwał na innych ludzi. Powiedział, że na prawdziwych, biednych Polaków, a tu spotyka inteligentów bez przygotowania do pracy na roli. I tak zostaliśmy w miejscowości Lauchen do końca wojny pracując czasem ponad siły dziecięce.

W kwietniu 1944 roku wydelegowano mnie do pomocy w majątku Rosengarten również na wyspie Rugia. Tam pracowałam bardzo ciężko od godziny piątej rano do późnego wieczora. Miałam wówczas 14 lat. Z dala od mojej rodziny było mi smutno, często płakałam i bardzo tęskniłam. Wykonywałam

prace porządkowe w domu gospodarzy. Pilnowałam również dzieci, pomagałam w kuchni, w ogrodzie i w obejściu. Rozpacz moja była tak silna, że nie myśląc o konsekwencjach w jeden niedzielny poranek uciekłam do rodziców. Bardzo zdenerwowani rodzice – powiadomieni przez gospodarza – oczekiwali mnie z niecierpliwością. Przybyłam bardzo późno wieczorem. Sprawę załagodzone za pośrednictwem gospodarzy moich rodziców. Po kilku dniach musiałam wrócić do Rosengartu. Wysłano mnie też do kopania rowów przeciwczołgowych. Do rodziców wróciłam, gdy wojska radzieckie zbliżały się do wyspy.

Do Polski wróciliśmy po dramatycznych wydarzeniach, będąc w drodze około czterech tygodni. Jednak dzięki opatrności Bożej wszyscy przeżyliśmy te tragiczne lata i choć bardzo okaleczeni, to radośni i szczęśliwi z powrotu do ojczyzny. Może brzmi to patetycznie, ale „Boże coś Polskę” nigdy przedtem ani potem nie śpiewaliśmy z takim przejęciem i ze łzami radości, jak w pierwszą niedzielę po przybyciu do Stargardu w naszym kościele parafialnym.